

Ateiści

Sprawa, która mnie trapi, spać nie daje i o którą w każdym, świadomym momencie mojego życia zahaczam wydaje się być absolutnie kluczową. Ha... jakby tego było mało, to po prostu nie wiadomo jak się do niej zabrać. Dylemat jest powszechny niczym prawo ciężenia, ale i okropnie kłopotliwy. Spędza sen z oczu autorytetom moralnym i naukowym. Czasami chciałoby się od niego uciec, ale niestety jest to niemożliwe.

Dusza. O duszy będzie; nad nią się zastanawiam i próbuję ją przeniknąć. Już dziecięciem będąc wiedziałem, że mam duszę i anioła stróża. Anioł stróż z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn kojarzył mi się z nocnym stróżem. Wyobrażałem sobie, że ma jasną i skupioną twarz, a skrzydła rozłożyste, gęste i ciepłe niczym baranica, aby nie marznął podczas służb, wart i dyżurów... ach zapomniałbym; przecież aureola. Aureola mojego anioła przypominała tęczę roziskrzoną dojrzałym słońcem. Musiał taki być, bo był mój. Z uwagi na nocny charakter pracy mojego boskiego wartownika każdego dnia po kolacji i wysłuchaniu bajki, którą mama czytywała mi z książeczek ukazujących się w serii „Poczytaj mi mamó”, prosiłem gorliwie niebiańskiego opiekuna aby pilnie czuwał nade mną aż do białego rana. Za dnia prozaicznie oddawałem się pod kuratelę rodziców. No i przez te wszystkie lata dzieciństwa tak zżyłem się z moim aniołem, tak poznałem wszystkie jego zagrywki i humory, tak mi spowszedniał, że na koniec przestałem go zauważać. Tutaj przyznać muszę z pokorą, że aż do tej pory jedynie z rzadka i to przy okazji ciężkich życiowych katastrof nachodziła mnie myśl, że oto istnieje opatrnościowy sługa o kwalifikacjach ochroniarza, który ma świadczyć usługi jedynie na moją rzecz. Przecież, chłop musiał jakoś do mnie przylgnąć przez cały mój życiorys. Przecież, niejako z urzędu moje problemy stawały się jego problemami. A z mojej strony, co? Czarna niewdzięczność, zapomnienie i obojętność. Po prostu wstyd. No i tak jakoś, właśnie, poprzez obecność anioła stróża, ni z tego, ni z owego problemem dominującym, problemem bezapelacyjnie „number one”, który w rankingu ważności pobił na łeb, na szyję wszystkie inne zmartwienia i kwadratury koła stał się powoli, chociaż nie bez mocnych przełomów problem duszy.

W miasteczku, które zamieszkiwałem życie toczyło się na czczo i chyłkiem, w nieuzasadnionej unізoności. W tym moim miasteczku małe koślawe domki upodabniały się do zgarbionych staruszek i stały jak opuszczone dzieci tuż przy poboczach dróg. Okna tkwiły tak nisko w obrysie murów, że spacerując między nimi, czy się tego chciało, czy nie kłopotliwie wchodziło się w zbyt bliski kontakt z ludźmi zasiadającymi przy stole, po drugiej stronie szyby.

Mnie przyszło wieść życie w bloku mieszkalnym, burym sześcianiku, których w całym mieście było zaledwie kilka, to i dobrze gdyż z daleka wyglądały niczym tekturowe, zniszczone pudełka po butach.

Muszę przyznać, że niedorostkowi, jakim wtedy byłem, kształcenie sprawiało nie lada frajdę. W trakcie pokonywania trasy: dom – szkoła mijałem niewielki rynek z księgarnią pełną elementarzy, baśni Andersena oraz książeczek z serii „Poczytaj mi mamó”. Potem, najczęściej w podskokach kiero-

wałem się wzdłuż muru otaczającego kościół, w którym oprócz wszystkich świętych przemieszkowały również anielskie grubaski, pucułowate na gębusiach z rozwichrzonymi złotymi loczkami. W tym to właśnie kościele, każdej niedzieli, pod koniec mszy, Elżunia, córka organisty, uosobienie piękna i delikatności, wyśpiewywała dźwięcznym głosem, Ave Maria. Na końcu zaś, mijałem skarłate chałupki z nisko zawieszonymi ikonami okien. I oto już szkolna brama, a za nią przysadzisty, piętrowy budynek z czerwonej cegły zwieńczony pokryciem z jasnopomarańczowej dachówki, która rozweselała niebo w pochmurne dni. Przed frontem budynku rozciągała się połać boiska szkolnego, szarego przez cały rok, gdyż kilka setek stóp regularnie stąpających, biegających i szurających nie dawało trawie żadnych szans. Szkołę, boisko i ogródek przyszkolny z uprawą warzyw grodził płot z kutej stali. Za nim biegła ulica, pusta i smutna w czasie lekcji, a po szkole radośnie najeżona dzieciakami. Vis a vis szkoły, po drugiej stronie ulicy stał domek – sierotka. Właściwie stał, to za dużo powiedziane, on się chylił i garbił, ale w tym dramatycznym trwaniu ciągle spełniał rolę salek katechetycznych. I właśnie w tym podupadającym domku pobieraliśmy pierwsze nauki religijne.

Mnie rozentuzjasmowanego ośmiolatka żaden nauczyciel nie uraczył jeszcze ani złośliwą ironią, ani nagłym wybuchem nieuzasadnionego gniewu. Pani Łyczko, nasza wychowawczyni wymierzała nam co prawda, od czasu do czasu kary cielesne, ale tylko wtedy kiedy solidnie sobie na to zasłużyliśmy. Karano nas, poza tym niezbyt dotkliwie, tak więc naturalne poczucie sprawiedliwości zapewniało nam niewzruszony spokój.

Gdzie nam wtedy było wiedzieć, że nasza ukochana Pani uprawia na nas garncarstwo dusz, delikatnie urabiając nasze podatne umysły na naczynia, które w przyszłości powinny chłonać jedynie treści, zgodne z naukami panów Marksa, Lenina i im podobnych.

Któregoś dnia weszła do klasy i od razu wiedzieliśmy, że zaszło coś niebywałego albowiem jej stara, ale dobrotliwa twarz emanowała niezwykle uroczystym skupieniem.

- Drogie dzieci, wczoraj zmarł ojciec narodu wietnamskiego, Ho Szi Min. Oznajmiła nam, ośmiolatkom z drugiej „a”, tą żałobną wiadomość tak jakby informowała nas, że oto odwołano nam wakacje. Patrzyliśmy na panią Łyczko z rozdziawionymi buziami i już powoli zaczynała nas ogarniać pogrzebowa melancholia, właśnie taka jakiej od nas oczekiwała, lecz jednak pani opiekunka uznała tą naszą rozpacz za niepełną, za zbyt mało rozwiniętą i dlatego w pewnym momencie pośród ciszy okraszonej napięciem oczekiwania na jakąś puentę, pokazała nam portret Ho Szi Mina. Portret był tak samo niechlujnie oprawiony jak portrety Gomółki i Cyrankiewicza, jak nam mówiono przywódców naszego państwa, wiążące po obu stronach orła białego, bez korony, łysego jakiegoś, w takiej socrealistyczno byle jakiej konwencji. Na konterfekcie widniało lico skośnookiego starca. Lico posiadało długie cienkie wąsy, tudzież podobną bródkę. Ania, najlepsza w klasie uczennica z miejsca zaczęła łkać i szlochać.

- Tak. To był wielki człowiek. – W głębokim zamyśleniu, patrząc gdzieś w podłogę, powiedziała, całym sercem oddana jedynie słusznej ideologii, nasza pani Łyczko.

Przez jakiś czas było nam nieco kwaśno, no bo pani taka duchem nieobecna i smutna... ale ponieważ Wietnam razem ze swoim ojcem narodu był nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co, więc zdołaliśmy jeszcze wytwarzać w sobie te uczucia żalopodobne jedynie do końca lekcji. Po godzinie i pięciu minutach nasze źrebięco rozbrykane rozumki i niecierpliwość dziecięcych ciał kazały nam wybiec na boisko szkolne i zapomnieć o całej sprawie.

Iluz dorosłych, bo w tym kontekście o dzieciach nawet nie warto wspominać, ma świadomość fak-

tu, że każda władza, wobec swoich poddanych pała uczuciami podobnymi do tych, jakie żywią wobec siebie chorobliwie zazdrośni kochankowie. A jeżeli kilka ośrodków władzy walczy o względy potencjalnych hołdowników, to wtedy co? Otóż wtedy mamy wojnę na górze, wojnę o rząd dusz, na ogół cichą tym niemniej jak w każdej wojnie ceną może być wszystko, nawet życie. Jest to konflikt wielce wstydlivy wzięwszy pod uwagę swobody obiecywane nam przez rządzących, którzy równocześnie pragną zniewolić i często niewolą nasze umysły aż do granic absurdu. I to właśnie o nas, dojrzewających niedojrzałości tam, wtedy również toczyła się wojna.

Naszym katechetą w okresie pierwszo – komunijnym został ksiądz Golonko. Potężny gość o rumianej gębie z każdej strony wylewającej się poza koloratkę. I muszę pisać gębie, bo normalna twarz nijak do tej gęby nie przystawała. Od pierwszej lekcji zostaliśmy zaskoczeni posturą i postawą tego krzepkiego i nad wyraz energicznego kapłana, gdyż rok wcześniej udzielał nam zbożnych nauk młodziutki, malutki, ciuchutki i chudziutki ksiądz Zajączek.

My, młodziaki z nie do końca jeszcze wykształconymi aparatami władzy sądenia zdołaliśmy pojąć jednak, że przed wejściem w pełnię życia chrześcijańskiego, trzeba się będzie strasznie dużo uczyć trudnych do pojęcia i wyrecytowania tekstów i wiadomości, dlatego ostrość i hardość, którą dał nam od razu odczuć nowy katecheta uznaliśmy początkowo za coś naturalnego. Ostrość i hardość przybierała najczęściej postać bolesnych razów w ucho, których nie szczędził nam, niesfornym uczniom nowy ksiądz wikary, używając do tego celu gumek, z których robiono wentyle do opon rowerowych.

Tak więc przechadzał się nasz ksiądz między rzędami ławek i znienacka...trzask w małżowinę. Wiadomo; każde z nas chciało uniknąć strzału z wentyla, więc pilnie wkuwaliśmy: a to modlitwę do Ducha Świętego, a to przykazania boże i kościelne. Kolejno wyuczyliśmy się również siedmiu grzechów głównych. Trochę śmieszne wydawały nam się te grzechy, a wiele spośród nich, choćby nie wiem co nie przystawało do naszego drobnego doświadczenia życiowego, więc i refleksja nad nimi była jedynie daremną próbą użyżnienia Sahary... z za takie niedobory; lampa w narząd słuchu. To powoli zaczęło wyrastać ponad zwykłą, dorosłą surowość.

Do obrazu świata, który my ośmiolatki właśnie w sobie budowaliśmy, gryzmołem jakimś, nie pasującym do niczego maźnięciem, zaczęła wydawać się nie tylko kara; nie wiadomo za co, ale i forma, w której nam ją wymierzano, dlatego zaczęliśmy się niepokoić, zastanawiać, namawiać, a w końcu tym namawianiem zniechęcać do lekcji religii u księdza Golonki. I tak zbuntowaliśmy się. Bez prowadzących i przywódców. Programem, który nas ujednolitył i zjednoczył była jedynie niechęć do fundamentalnego łamania zasad. Zupełnie nie rozumieliśmy, o co temu gibkiemu tłuszciochowi w sutannie chodzi.

Ksiądz, osoba duchowna; domaga się szacunku. Ale nadmiernej osobie księdza Golonki nie pasowała ani sutanna, ani status osoby duchownej, no więc i nasz szacunek dla niego gdzieś się rozwiął. Podczas lekcji, które miał prowadzić ten dziwnie wynaturzony kapłan salka najczęściej świeciła pustkami. Bojkot. Cała nasza klasa, wszyscy uczniowie, oprócz najlepszej uczennicy Ani, która, oddajmy jej sprawiedliwość, również brała w ucho, zeszła na niepewną, a być może zgubną nawet, drogę absencji katechetycznej.

W okresie, o którym opowiadam samcem a zarazem samicą alfa w hierarchii ideologii panujących był bezbożny system komunistyczny. Bezbożny to może za dużo powiedziane, bo bogów swoich to on miał. No, ale taka już ludzka natura, że chociaż buntuje się przeciwko Bogu Wszechmogącemu, to jakiegoś skundlonego, przyzwalającego na wszystko boga – clowna mieć musi. W opozycji do światopoglądu

o powszechnej szczęśliwości proletariatu, tkwiło w tymże proletariacie nie dające się za cholerę wykorze-
nić chrześcijaństwo, którego strażnikiem był Kościół Katolicki. Gdyby naród, co nie daj Boże wyróżnął się
w wojnie ideologiczno – religijnej, to już nikt nie mógłby sprawować nad nim rządu dusz i z całego sa-
mouwielbienia władzy domagającej się nabożeństwa od swych poddanych wyszłaby lipa, więc władze
komunistyczne zawarły z hierarchami kościoła swoisty pakt o nieagresji. Panowała, więc sobie taka, lek-
ka schizofrenia moralna w państwie wiekiście niby zadowolonych robotników, chłopów i inteligencji
pracującej, w którym dopuszczano niejaką możliwość opiumowania się mas za sprawą irracjonalnej wia-
ry w Boga.

Oczywiście, my zbuntowane niedorozwitki nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia, natomiast szczwane
władze w postaci dyrekcji szkoły wyczuły swoim totalitarnym węchem tą naszą samowolę. I w tym mo-
mencie ośmiolatki z drugiej „a” stały się pionkiem... zresztą może i figurą w partii szachów rozgrywanej
pomiędzy postępową władzą państwową, a uwstecznioną wiarą religijną władzą kościelną, w imieniu
której występował ksiądz dziekan, staruszek dzielnie trwający na swoich pozycjach, pomimo rozlicznych
szykan, utrudnień i innych upierdliwości.

Władza świecka silniejsza strajkiem niedorostków przystąpiła do ataku z kontry. Tymczasem my
bawiliśmy się pysznie, zupełnie nieświadomi tego, że całkowicie niechcący uruchomiliśmy i popch-
nęliśmy do działania maszynę, która miała z nas uczynić NOWYCH, KOMUNISTYCZNYCH LU-
DZI.

Na zewnątrz, póki co nic niepokojącego dostrzec się nie dało. Nikt nie miał do nas żadnych preten-
sji. Nikogo nie dziwiło to, że uczniowie przygotowujący się do pierwszej Komunii Świętej z takim upo-
dobaniem opuszczają lekcje religii. Tak jakby wszystkim było to zupełnie obojętne. Tylko od czasu do
czasu Pani Łyczko spoglądała na nas tajemniczo. Szacowała w nas siłę... czy to przeciwnika, czy ko-
alicjanta? I nie wiadomo czego w jej spojrzeniu było więcej, przyciąganie czy podziwu. Ale my nic z tego
zupełnie nie rozumieliśmy.

Była jesień, a więc okres polowań z procą na ptactwo ćwierkające i latające. Słońce rozświetlało
złotem poranne mgły październikowe. Wiatr kręcił młynki pożółkoczerwonymi znaczkami liści. Świat
rankami bywał rześki, a wieczorami melancholijny. Zdarzało się, że przychodziła nam do głów irytująca
myśl o naszych bezbożnych wagarach, lecz natychmiast ją odpędzaliśmy zbierając się w kohorty małych
dzikusów, które stając w opozycji miały przeciw sobie srogie pociski sięjąc w szeregach nieprzyjaciół
spustoszenie i czyniąc im nierzadko dotkliwe krzywdy na ciele. Procą posługiwałem się dosyć zręcznie.
Wystrugałem ją sobie z kawałka solidnej gałęzi. Z uwagi na swoją niezawodność stała się moją chlubą, a
przedmiotem zazdrości u chłopaków z podwórka. Zresztą, co tu dużo gadać proce posiadaliśmy wszyscy i
strzelaliśmy z nich do czego się tylko dało, byle to coś nie poszło na skargę do naszych rodziców.

Mój kolega Artur, uzbrojony w drugą, co do celności i wspaniałości procę w klasie, pewnego
złocistokolorowego poranka niezwykle udanym strzałem wybił szybę w okrągłym okienku na stryszku
budynku szkolnego. Pech chciał, że w tej samej chwili główne wejście do szkoły umiejscowione tuż pod
feralnym oknem, przekraczała pani Wojtała, nauczycielka matematyki w klasach nieco wyższych. Szkło
w kawałkach posypało się pod jej niczego nie spodziewające się nogi. Szczęściem nie uległa zranieniu,
ale przeraziła się ta pani od matematyki bardzo. Oczywiście, my łobuzy jak się patrzy, wyćwiczeni do ta-
kich chuligańskich sprawek na dźwięk tłuczonego szkła rozbiegliśmy się we wszystkie strony boiska sz-
kolnego, aby ani woźny, ani żaden z nauczycieli nie był w stanie ustalić sprawcy przestępstwa.

Na następnej lekcji, nasza pani poinformowana już o zamachu terrorystycznym z użyciem procy i potłuczonego szkła na życie jednej z nauczycielek, przeprowadziła w klasie niedbale śledztwo w stylu z tamtych czasów. Zapytała po prostu śmietankowo – waniliowo zabarwionym głosem, a pytanie skierowała do żeńskiej części klasy:

- Dziewczynki, kto wybił szybę?

Ania, najlepsza, najpilniejsza i najbardziej sumienna uczennica w klasie, od razu, ni tego ni z owego wskazała na mnie. Nie miałem na swoją obronę ani jednego argumentu, a zrzucić winy na Artura nie chciałem. Miałem przecież swój honor. Ogłupiałem, przestraszyłem się i wybałuszyłem oczy. Po czym błyskawicznie zrozumiałem, że sprawa skończy się okropnym dramatem. Zrozumiałem, że ta chryja skończy się dla mnie utratą procy. Stało się to prawie natychmiast, albowiem pani Łyczko kategorycznie rozkazała mi abym złożył broń na katedrze. Uczyniłem to ze łzami w oczach, bo czułem się jak żołnierz zmuszony złożyć oręż przed zwycięskim okupantem. Cóż wart nieuzbrojony wojownik? Po prostu nagle wydało mi się, że życie bez procy utraciło cały swój blask, a ja stałem się nikim.

Ania, nie zakończyła jednak kwestii na nieuprawnionym wskazaniu mnie jako sprawcy występk. Ta mała konfidentka, jakimś siódmym zmysłem wyczuwająca czego oczekuje od niej władza nauczycielska za-inspirowała to przedemerytalne ciało pedagogiczne, to znaczy panią Łyczko wiedzą o tym, że przecież w młodszej klasie uczy się moja siostra, i że naturalnie można jej użyć jako nośnika informacji dla moich rodziców o niecnym postępowaniu mnie: nicponia i huncwota. Siostra wezwana przed surowe oblicze mojej wychowawczyni tak się wszystkim przejęła, że ze strachu bez przerwy dygała w dziewczęcym ukłonie i wyglądało to tak jakby dostała napadu czkawki. Nakazano jej kategorycznie poinformowanie rodziców o popełnionej przeze mnie zbrodni.

Przez całą drogę do domu, przez tą całą Gólgotę, moje młodsze żeńskie rodzeństwo drepające w zniecierpliwieniu obok mnie, drżącym głosem jakby rozumiejąc tragizm sytuacji, ciągle zapytywało:

- Mam im o tym powiedzieć? No, powiedz... Mam im o tym powiedzieć?

A mnie nie było lekko. Czułem się, jakby mi umarł przyjaciel. I ja z tym moim żalem i siostrą wiszącą u rękawa w końcu nie wytrzymałem i krzyknąłem:

- A jak chcesz, to powiedz.

Korciło ją przez cały wieczór. Dziewczyna zrobiła chyba ze sto kółek wokół stołu. W końcu matka zaczęła się niepokoić:

- Co ci, córuś?

- A, nic. – Zachnęła się po krótkotrwałym wahaniu. Nic nie powiedziała. Tego, czarnego dnia uratowała w moich oczach honor ludzkości, a szczególnie jej dziewczęcej części.

Chyba przez tydzień cierpiałem i nie umiałem pogodzić się ze stratą. Tymczasem wokół rebelii skierowanej przeciwko nieobliczalnemu i zbyt, jak na nasze gusta brutalnemu duszpasterzowi zaczęły dziać się rzeczy coraz bardziej poważne. Ale... wszystko to powolutku i metodycznie, gdzieś pod spodem, nic na widoku.

W tym moim miasteczku, wszystkie pory roku, pogoda i niebo całe były pomalowane jakby pędzlem bożym. Przyroda żyła tak intensywnie, iż pewnego dnia gdy dopadło mnie oberwanie chmury, to myślałem że utonę na stojąco. Lata upalne witane wibrowaniem kolorowych wiosen. Łąki, pola, rzeka, a wszystko tak pachniało, że ludzie zataczali się na ulicach od tych intensywnych woni.

Jesień spieniona dosadnością wrażeń przeistaczała się powoli, aż zupełnie ponuro zszarzała. I z ta-

ką samą przesadą rozpoczęła się zima tego, niezapomnianego, pierwszo – komunijnego roku. Było mroźno i śnieżnie, aura dla nas dzieciaków wprost cudowna.

Któregoś dnia, przed lekcjami, na ślizgawce, wywinąłem akrobatycznego „orła” i nabiłem sobie potężnego guza. Wystraszona nauczycielka zwolniła mnie z lekcji no i przeleżałem trzy dni w domu, bo jak się okazało nabawiłem się, kolejnego w moim życiu wstrząsu mózgu. Po powrocie do szkoły dowiedziałem się, że Danuśka, która dłaczegoś chciała siedzieć ze mną w jednej ławce naskarżyła, że to za sprawą Ani, najlepszej w klasie, która miała podłożyć mi nogę na ślizgawce doznałem tych poważnych obrażeń. Ania otrzymała burę od pani Łyczko i szlochała gdyż nasza wychowawczyni oprócz udzielenia jej ostrej reprimendy, zaczęła ją również ostentacyjnie ignorować. W ogóle to pół świata się dziewczynie zawaliło. Następował dla niej jeden sądny dzień za drugim. Jeśli idzie o katechezy, to została włączona do innej grupy i jak opowiadali nam koledzy z tamtej klasy, tak obrzydliwie nadskakiwała księdzu Golonce, że ten w końcu przestał ją zauważać. Ania potrafiła wzbudzić niesmak w każdym, nawet w tak gruboskórnym człowieku jakim, niestety był nasz katecheta. I cierpiała dziewczyna, bo stałe udzielanie właściwych odpowiedzi i czerpanie z tego satysfakcji było sensem i treścią jej życia. Poruszała się, ta mała karierowiczka w slalomie różnych, sprzecznych czasem oczekiwań wobec nas, niczym mistrzyni w narciarstwie alpejskim. Już wtedy rozumiałem, że to zapewne, umiejętność cenna, ale i wstrętna zarazem. W znakomitej większości, my dzieciaki z drugiej „a”, jeśli już musieliśmy opowiedzieć się po którejś ze stron to musiała być ona mocno wiarygodna, natomiast Ani żadna prawda nie interesowała. Ania musiała być w świetle reflektorów. Prawda była tam, gdzie była Ania.

Minęło Trzech Króli. Po lekcjach kolędnicy poprzebierani za Heroda nadętego w koronie, za kostuchę z prześcieradła, diabła czarnego od sadzy i turonia kłapiącego drewnianą paszczką, z wirującą gwiazdą betlejemską nawiedzali ludzkie siedziby. Pewnego dnia podczas trwania tego polskiego karnawału doszło do zapętlenia całego ambarasu. Tak sobie, jak gdyby nigdy nic. Ostatecznie kluczowe wydarzenia naszego życia przychodzą tak, jak wszystkie inne i dopiero kiedy się przytrafiają, to wiemy że gruchnął piorun z jasnego nieba, no i chciał nie chciał, musimy z tym żyć. Podobnie było i tym razem.

Na samym początku zajęć lekcyjnych pani Łyczko podniosła, na nas swoich uczniów zmęczone oczy i spojrzała, i tak spoglądała w milczeniu, przez grube szkła okularów, które zsuwały się jej na koniec bulwiastego nosa przenosząc wzrok z jednej strony klasy na drugą. Popatrzyła, pomilczała i zadała pytanie:

- CZY KTOŚ Z WAS CHCE SIĘ ZAPISAĆ DO ATEISTÓW?

Wszyscy byliśmy bardzo skonfundowani, po pierwsze powagą pytania, a po drugie niezrozumiałym słowem, które padło na końcu zdania. Nasza biedna Ania, jak zwykle najlepsza, a tym razem również najszybsza, uniosła do góry dwa paluszki i zapytała:

- A kto to są, proszę pani, ateści?

Nastąpiła chwila oczekiwania pełna napięcia, podczas której tylko umysł pani Łyczko coś sobie kalkulował. Potem usłyszeliśmy:

- Jakby wam to wyjaśnić? Widzicie ateści to są ci, którzy nie chodzą na lekcje religii.

My uczniowie zajrzeliśmy sobie głęboko w oczy, a na wszystkich twarzach wymalowała się taka euforia jakby od tamtego dnia do końca świata lody „Bambino” miano rozdawać za darmo i to w nieograniczonych ilościach.

Autorytet pani Łyczko oraz tajemniczych ateistów przeciwstawiony został autorytetowi księdza Golonki, a ponieważ autorytetowi naszych rodziców, którzy jak zaczęliśmy domniemywać, w takiej sytuacji nie będą mogli sprawić nam łomotu, ani wszczać żadnej grandy za sytuację przez nas wytworzoną. Cała klasa oprócz jednej Ani zgłosiła chęć wstąpienia w szeregi ateistów, którzy nie chodzą na lekcje religii.

Już tak ten świat skonstruowano, że każda przyczyna niesie za sobą pewne określone skutki, tak też i nasz postępek znalazł swój finał i ocenę.

Niepostrzeżenie nadszedł marzec i wszyscy nagle otrząsnęli się z niemocy i niezdecydowania. To znaczy bezwzględnie pierwszy otrząsnął się nasz ksiądz dziekan. Oznaką tego przebudzenia, a w istocie pasywności władz, które same zbyt dobrze nie wiedziały co z tym niedogodnym fantem począć (ośmiolatki świadomie wstępujące w szeregi Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, to przecież śmiech w żywe oczy), było pismo naświetlające całą tą niecodzienną sprawę i skierowane przez księdza dziekana do naszych rodziców. Niesforna gówniarzeria została nagle pozostawiona sama sobie, a nasi rodzice dowiedzieli się na koniec co i jak. Przełożony naszej wspólnoty katolickiej, ten nasz staruszek siwiutki spotkał się z każdą rodziną z osobna i odbył poważne rozmowy z opiekunami objętych rebelią niedowiarków. Cały ten niemały kłopot, ta hucpa z potencjalnie poważnymi konsekwencjami mocno poruszyły społeczność naszego miasteczka. Okazało się również, że sprawa dotarła do kurii biskupiej gdzie po dokładnym rozpatrzeniu nie pozostawiono księdzu Golonce specjalnego wyboru: musiał odejść. Podobno zniechęcił się do stanu kapłańskiego.

No, ale kiedy sprawa została nagłośniona i ukazała swe nieładne oblicze miejskiej opinii publicznej to my spodziewaliśmy się po rodzicach, już tylko wszystkiego najgorszego, a tu nic. Natomiast przedmiotem zainteresowania naszych matek i ojców stała się jedna, mianowicie kwestia; kto nas namówił do zapisania się do ateistów? Cóż, trzeba było im powiedzieć, że to pani Łyczko. Rodzice zasępiли się, ale póki co tylko załatwili z księdzem dziekanem niezbędne formalności abyśmy my, szczęśliwie wyzwoleni z ateizmu mogli podjąć trud kształtowania w sobie człowieka jak Pan Bóg przykazał.

Wątpliwości zostały skrupulatnie wyjaśnione i usłyszeliśmy tylko jedną złą nowinę. Oto teraz w przeciągu dwóch miesięcy będziemy musieli nadrobić zaległe nauczanie przedkomunijne za cały okres naszej bezbożnej nieobecności, a lekcje z nami będzie prowadził ksiądz dziekan, więc lekko nie będzie. No i nie było, ale my wyrzuci z uwierającej niewiary neofici szybko złapaliśmy wiatr w żagle i poniosło nas tak bardzo, że bez jakichś większych perypetii egzamin zdała cała klasa w komplecie.

Nas chłopaków niespecjalnie jakoś cieszyły te nowe garniturki. Żeby choć jeszcze długimi spodniami, to byłoby co innego człowiek poczułby się jak mężczyzna. A tak, w krótkich spodenkach... też mi uciecha? Dziewczyny, naturalnie, jak to dziewczyny wszystkich miejsc i czasów nieustawały w zazdrośnej rywalizacji w wyszukiwaniu wszelkich wyróżniających cech, tych swoich prawie identycznych białych sukienek, wianków i weloników. My, męska część klasy pochłonięci byliśmy głównie souvenirami, a to; kto dostał fajniejszy zegarek tudzież rower albowiem w latach mojego dzieciństwa był to nieśmiertelny zestaw ofiarowany młodzieży pierwszokomunijnej. No, tak czy inaczej wprowadzaliśmy się w nastrój zbliżającej się inicjacji.

Jabłonie były obsypane białymi kwiatuskami jakby przyprószył je wieczny, nietopniejący śnieżek. W powietrzu unosiły się fale ciepła i zapach bujnie rozkwitającej roślinności. Wychodziliśmy z kościoła parami, chłopcy z dziewczynkami i przypominaliśmy korowód tańczący poloneza. Szedłem w jednej parze z tą nieszczęsną Anią, najlepszą w klasie. Odczuwaliśmy do siebie w tych warunkach, po tych wszyst-

kich nieprzyjemnych zajściach naturalną niechęć, ale przydawało to jedynie powagi, nam w tym powolnym marszu po dziedzińcu kościelnym.

Tak oto dokonało się. To było jak happy end w dramacie o perypetiach obyczajowych. Życie wskoczyło w dawne koleiny, a ludzi ogarnął spokój i zaczęli się do siebie uśmiechać.

Tylko pani Łyczko bardzo była zakłopotana kiedy miała urządzić wywiadówkę przed końcem roku. Dzisiaj domyślam się jak bardzo musiało być jej niemiło z powodu całego tego blamażu.

I zawsze, pomimo szalejących w dorosłym, głupim świecie batalii każde dzieciństwo potrafi być ciepłe i radosne. Umie bawić się pod niebiosami i zasypiać w gorączkowym oczekiwaniu następnego poranka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 03.10.2012 19:01

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.